

Zając Cichy

I hop, i hop, i raz, i dwa, i trzy. I podskoki, i pajacyk, kilka pompek i skok w dal.

Teraz porzucam do celu szyszkami. Dzisiaj mam kondycję, to poćwiczę sobie jeszcze, przecież w zdrowym ciele zdrowy zając. Wiadoma sprawa.

Ale mi wesoło, taki piękny dzień dzisiaj...

Cześć, chcę się wam przedstawić. Jestem zając szarak. Przyjaciele nazywają mnie Cichy, przed chwilą uciekłem właśnie lisowi. Wszyscy w lesie mówimy na niego chciwus, cwaniaczek, ale to ja jestem sprytniejszy – codziennie mu uciekam.

Mówią też, że to mój najgorszy wróg, ale nie bójcie się, nie jest tak źle.

Zaraz o wszystkim wam opowiem.

Mam dużo koleżanek, są ładne i malutkie albo całkiem duże, wieelkie, tak jak krówka Pękatka, która ma ogromny

brzuch i złamany róg. Nie boję się jej. Nawet się przyjaźnimy. Jest dla mnie dobra.

Kiedyś zaprowadziłem ją na pole koniczyny. Tak się objedliśmy, że ja nie mogłem się ruszyć. Brzuszek miałem tak pełny, jakbym balon połknął. Szybko uwiłem więc sobie niewielką nieckę, żeby odpocząć, i migiem zasnąłem.

Pamiętam, co mi się wtedy śniło. Nawet jak jestem bardzo najedzony, zawsze śnią mi się moje przysmaki i to, jak wyprowadzam w pole lisa.

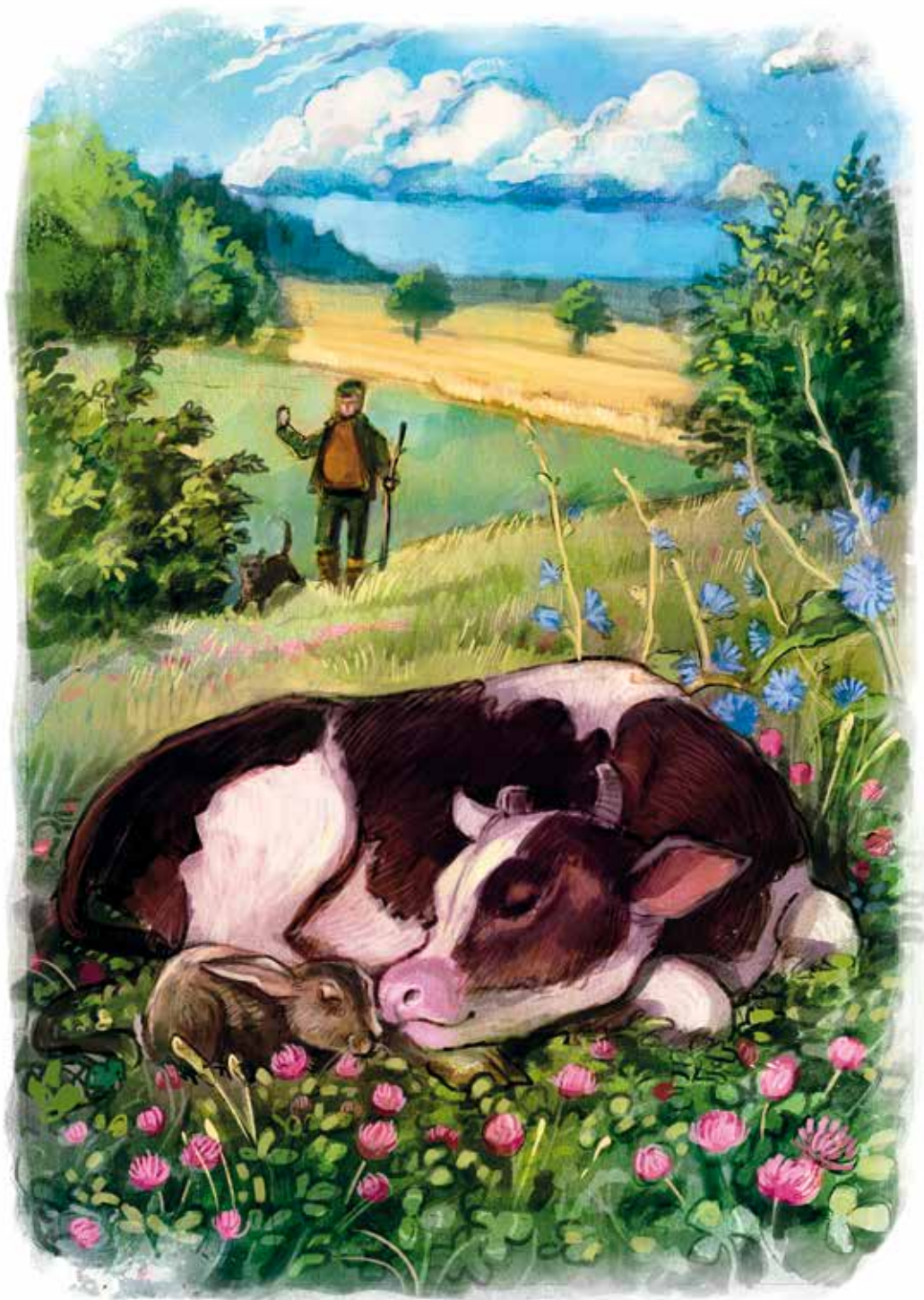
To znaczy, jak mu uciekam.

Śnił mi się piękny ogród z tysiącem grządek, a na każdej były same smakołyki. Dałem nurka w pietruszkę, to mój przysmak, potem w buraki, marchew, kapustę. Wszystko było cudownie dorodne i świeże, a że niedawno przestał padać deszcz, warzywa były chłodne i wilgotne. Niebo w pyszczku, sam miodzik.

Ale gdyby nie pomoc innej koleżanki, byłoby z nami źle.

Kiedy tak smacznie spaliśmy z Pękatką wśród pachnącej koniczyny, nie usłyszeliśmy nawet, że zbliża się do nas bardzo groźnie wyglądający, nieco gburowaty gospodarz z pobliskiej wsi.

Trzymał w ręce sękaty kij, którym lekko się podpierał, a obok niego biegał wierny duży pies.



Nagle... cóż to?! Czuję, jak ktoś po mnie skacze i gryzie mnie po uszach. Nie wiem, jak by się ta smakowita wyprawa dla nas skończyła, gdyby myszka tak rozpaczliwie nie próbowała mnie zbudzić.

Ciągała mnie jeszcze za omyk, ludzie tak nazywają nasze ogonki.

– Uciekajcie! Uciekajcie! – krzyczała z całej siły.

Wreszcie krowa Pękatka, która nie spała, tak mnie podrzuciła do góry tym złamanym rogiem, że wylądowałem na swoich twardych łapach, to znaczy skokach, i rzuciliśmy się do ucieczki.

Kiedy byliśmy już daleko, w bezpiecznej odległości, odczuliśmy z ulgą.

Pękatka nie należała do tego gospodarza, na którego polu byliśmy, a to oznaczało, że weszła w szkodę. Moje spotkanie z psem Mosiem na pewno nie byłoby przyjemne.

Chciałem podziękować myszce, że nas ostrzegła, ale jej już dawno nie było – pobiegła do swoich młodych, miała ośmioro dzieci. Jest gryzoniem. Gospodarze ich nie lubią, bo gryzonie są szkodnikami upraw, zbóż, ale ja ją lubię – jak już mówiłem, jest moją przyjaciółką.

Nadciągała burza. W oddali pokazały się pierwsze błyskawice. Zrobiło się ciemno i groźnie. Postanowiłem schronić się w głębi lasu, gdyż bardzo nie lubię podmokłych

terenów. Ale Pękatce one wcale nie przeszkadzają, bo nawet mieszka nad samą rzeką.

Ojej, ale co ja dzisiaj jestem taki zapominalski?! Przecież miałem odwiedzić mojego starszego znajomego pana zająca Pędzibka! Jest już staruszkciem, bo ma dziewięć lat, i żyje, jak my wszyscy, w pojedynkę. Jest samotnikiem i ma już bardzo słaby wzrok.

Póki jeszcze nie pada deszcz, muszę wrócić do wsi po ziemniaka albo buraka – to są przysmaki pana Pędzibka. Zaniosę mu, niech sobie staruszek poje.

Trzeba się pośpieszyć, deszcz zaczyna padać, a ja nie lubię mieć mokrego futerka.

Ale chyba coś się stało... Czemu tak wszyscy uciekają w popłochu?

Nagle usłyszałem moje imię:

– Cichy, Cichy, a ty dokąd?! Nie w tę stronę biegniesz, wszyscy uciekamy w głąb lasu. Nadciąga straszna burza, chowaj się, wracaj.

Ale ja musiałem dotrzymać słowa, obiecałem zanieść jedzenie panu Pędzibkowi.

Wiatr popychał mnie do przodu. „Jeszcze trochę, już blisko” – powtarzałem sobie i ani się spostrzegłem, byłem już na kartoflisku. Teraz mocno łapami rozgrzebuję ziemię i już jest jeden, drugi, trzeci kartofelek.

Tyle to nie dam rady, ale jeden, największy, uchwycę zębami – i już mnie nie ma.

Teraz jak najszybciej stąd uciekam, byle dalej od wioski, bo deszcz już leje.

Zerwał się bardzo silny wiatr. W lesie wśród drzew jest bardziej sucho i bezpieczniej. „Szybciej, szybciej!” – popędzałem sam siebie. „Już za tą polanką mieszka stary zajac, pan Pędzibek. Lubię mu pomagać”.

Wszyscy w lesie śmieją się z nas, że to ja powinienem nazywać się Pędzibek, bo teraz ja jestem najszybszy w lesie.

W końcu jestem, ale... gdzież on się podział? Nigdzie go nie ma!

Rzuciłem kartofelek pod jałowiec, gdzie zawsze spał starszy kolega.

– Proszę pana! Hop, hop! – zawołałem, ale nie było żadnego odzewu. Posmutniałem i zaniepokoiłem się.

Wiatr był już tak silny, że musiałem schować się głęboko wśród gałęzi dorodnego jałowca. Udało mi się nawet zdrzemnąć. Nagle usłyszałem głośne wołanie o pomoc. „Przecież rozpoznaję ten głos!” To ryjówka aksamitna tak rozpaczliwie nawoływała.

Cóż tam się stało? Szybko wyskoczyłem spod jałowca i czym prędzej pobiegłem przed siebie.

Na starym kretowisku, obok zmurszałego pniaka przy niewielkim bagnie, stała malutka roztrzęsiona myszka ryjówka.

Jest podobna do myszy polnej, ale Aksamitka, jak ją nazywam, ma długi piękny ryjek i schowane w futerku uszy. No i bardziej mi się podoba, bo wspina się nawet po drzewach. Jest pożyteczna i ładna.

Zjada gąsienice i poczwarki, szkodniki drzew w lasach i sadach, ślimaki, pająki. Nawet jest pod ochroną.

Bardzo ją lubię, bo nie zasypia na zimę i zawsze jest głodna – tak jak ja. Lubimy nieraz w nocy razem popsocić.

O, i pan zając Pędzibek się znalazł.

Przybiegły też dwie sarenki i właśnie nadchodził jeź Gwoździk z kolegami Kolczykiem i Wiesiem. Oni mieli swoje kryjówki najbliżej.

– Co się stało?! – zapytałem. – Mówcie szybko!

– Tam, za tą sosną, znaleźliśmy w borówkach gniazdko zięby z czterema jajeczkami – załkała roztrzęsiona myszka. – Spadło z najwyższego krzewu. Koniecznie musimy im pomóc. Taki deszcz już pada, zięby rozpaczają, trzeba coś zrobić. i to jak najszybciej.

„Co robić? Co robić?” Pomyślałem chwilę.

– Mam pomysł! – zawołałem zaraz. – Sarna Miłka delikatnie uchwyci pyskiem gniazdko, druga sarenka, Kaja,

rozchyli gałęzie gęstego krzaku tarniny, a Aksamitka i zięby będą asystować i pomogą umieścić gniazdo jak najwyżej.

– Świetny, doskonały pomysł!... Tylko trochę wolniej mów – odezwał się jeź Gwoździk. – Musimy dobrze cię zrozumieć. Ty szybko biegasz i szybko myślisz, a my wolniej chodzimy i wolniej myślimy – stwierdził stanowczo jeź.

– Dobrze, języku, powiem wolno i wyraźnie, ale nie będę powtarzał, bo nie ma na to czasu. Słuchajcie: jeśli już mamy pomóc, musi to być zrobione na szóstkę. Gniazdko jest bardzo lekkie, jest zbudowane z mchów, porostów, korzonków i traw spojonych pajęczą nicią, więc trzeba je przenieść bardzo delikatnie. Trzeba je mocno umocować w rozwidleniu gałęzi krzewu.

– No, to do roboty! Aksamitka już czeka na krzaku. Sarenka Miłka już gniazdko ma w pysku – zawiadomił Cichego pomocnik jeź Gwoździk.

– Teraz ostrożnie, bardzo powoli, Kaj, rozchył gałęzie.

– Tu jestem, tu, tu będzie najlepiej. – Wskazała miejsce podekscytowana myszka ryjówka.

Sarna Miłka dostojnie i z wielką uwagą umieściła gniazdko na gałęziach, reszta zwierząt dopełniła dzieła.

– Hurr, udało się! Uratowaliśmy cztery jajeczka zięby.



Jeż Gwoździk

Cześć, poznajmy się. Jestem jeż Gwoździk. Nie mam jeszcze roku, ale jestem już dorosły. Dziś jestem wolny i bardzo szczęśliwy, ale nie zawsze tak było, miałem bowiem wiele ciekawych przygód. I nie wszystkie były wesołe.

Przeżyłem smutną historię, ale nie martwcie się, wszystko skończyło się dobrze. A było to tak:

Pewnego późnego wieczoru namówiłem swoich kolegów i brata na wyprawę do sadu po jabłka. Znudziły się nam już ślimaki, chrząszcze i inne gryzonie, które jedliśmy codziennie. Świeże jabłka prosto z sadu, to byłoby coś!

Chociaż mamy małe nóżki, możemy iść bardzo daleko, nawet kilka kilometrów.

Tej nocy księżyc był w pełni, świeciły gwiazdy. Było jasno, ciepło i pięknie. Szliśmy równym krokiem, jeden za

drugim, sami chłopcy, i nawet nie wiedzieliśmy, ile przygód spotka nas tej nocy.

Wiesio był z nas najmłodszy. Była to jego pierwsza tak daleka wyprawa, ale on bardzo pragnął z nami iść. Jego mama ostrzegała go i prosiła, żeby został, bo jest jeszcze mały. Wiesio jednak się uparł.

– Dam radę! Dam radę! – ciągle pokrzykiwał. – Jestem duży, duży!

Ja byłem najstarszy, miałem w pyszczku ostre ząbki i byłem największy, no i chyba najmądrzejszy, więc zostałem szefem wyprawy.

Chociaż noc była piękna, trochę nam się nudziło. Pomyślałem sobie, że odwiedzimy po drodze ciotkę Spizarkę. Była ona dostojną panią jeżową i zawsze miała w domu najwięcej zapasów. „Coś zjemy, odpoczniemy i pójdziemy dalej” – taki miałem plan.

Droga dłużyła nam się, było cichutko, wszyscy dookoła spali. Nagle zauważyliśmy, że nie ma z nami Wiesia.

– Wiesiu! Wiesiu! – nawoływaliśmy. – Wiesiu, odezwij się! Wiesiu, gdzie jesteś?!

Była głucha cisza, tylko puszczyk leniwie przefrunął na inną gałąź, spadło kilka szyszek i znowu nastąpiła cisza.

– Wracamy – postanowiłem. – Musimy odnaleźć Wiesia. Było nas trzech.

– Musimy iść w odstępach, powoli – zadecydowałem. –
Na pewno go znajdziemy.

Było widno, gwiazdy oświetlały las niczym ogromne latarnie. Księżyc jakby uśmiechał się do nas.

– Będzie dobrze – zapewniałem przyjaciół.

– Znajdziemy Wiesia, Gwoździku, prawda? – upewniał się zmartwiony Zezik.

– Chodźcie, szybciej, chodźcie! – wołał Kolczyk, który był daleko przed nami. – Coś usłyszałem.

„To tylko myszy” – pomyślałem, ale Kolczyk coraz głośniej wołał:

– Jest! Jest! Znalazłem go. Tam, w dole.

„O rany-pikany, trudna sprawa” – pomyślałem.

Wiesio wpadł do głębokiego leśnego dołu.

„Cóż robić? Trudna sprawa” – pomyślałem raz jeszcze, ale głośnie powiedziałem:

– Wiesiu, zaraz ci pomożemy.

– Tędy, powoli, dasz sobie radę. – Kolczyk wskazał drogę Wiesiowi.

Ale nie był to dobry pomysł. Wiesio zdążył zwinąć się w kulkę i przekoziółkował z piaszczystej skarpy, lądując w stercie zeschniętych liści.

– Buu – zapłakał. – Spadłem, nie uda mi się, jestem niezdara.

– Spróbuj jeszcze raz – namawiał Koleczyk – do skutku. Nie zostawimy cię tutaj samego – zapewnił, widząc, że Wiesio coraz bardziej popłakuje.

– Zaczekajcie, wymyśliłem lepszy sposób na uratowanie kolegi. Musimy wrzucić do dołu jak najwięcej szyszek i mchu, utworzą się schodki i po nich Wiesio wejdzie na górę.

Nagle zerwał się silny wiatr i z drzew posypały się szyszki. Pobudziły się wiewiórki.

– Co tu się dzieje?!

– Wiesio, nasz przyjaciel, jest uwięziony, właśnie go ratujemy. Pomożecie nam?

– Tak, tak, wspólnymi siłami wrzucimy sosnową gałąź. Wiesio złapie za nią łapkami, a my go wyciągniemy.

– Szybko, nie ma czasu do stracenia.

– Raz, dwa, trzy, już wrzucamy... Ojej, tym razem się nie udało, spróbujemy jeszcze raz. Raz, dwa, trzy... Udało się!

„O rany-pikany, już jest dobrze” – pomyślałem.

– Wiesio, teraz złap łapkami. Mocno trzymaj, jak najmocniej, i nie puszczaj gałązki.

– Kabyka, pyka, byka, pyka – wypowiedziałem to moje czarodziejskie zaklęcie. Teraz musi zadziałać, nieraz pomogło mi w tarapatkach.



Cztery wiewióreczki złapały się za rude kitki, a my obserwowaliśmy to z boku – przecież mamy ostre kolce, a nie chcieliśmy pokłuć malutkich rudasków.

– Jeden, dwa, trzy i na cztery ciągniemy – zdecydowała najstarsza z nich. – Wiesiu, gotowy jesteś?

Gdy język potwierdził, wiewiórka zakomenderowała:

– Zaczynamy!... No nie – powiedziała po chwili – znowu się nie udało, mamy za mało siły. – Laskotka, bo tak miała na imię najstarsza wiewiórka, posmutniała.

I wtedy dopiero zadziałało moje zaklęcie, które ciągle powtarzałem po cichu: Kabyka, pyka, byka, pyka. Zza krzaków wygramolił się zaspany młody zając Pędzik, syn starego zająca Pędzibka.

– Co to za zgromadzenie?! Nie możecie ciszej? Obudziliście mnie!

Był mocno niezadowolony, ale kiedy opowiedzieliśmy, co się stało, od razu przystąpił do akcji ratowania Wiesia.

– Wszyscy się odsuńcie, sam dam radę, cóż to dla mnie taki mały język. Nie takie rzeczy w życiu robiłem – przechwalał się Pędzik. – A ten dołek? Cóż to dla mnie, mogę go nawet przeskoczyć. Wiesiu, usiądź na gałęzi, trzymaj ją mocno łapkami, a ja zaraz cię wyciągnę, tylko już nie płacz.

Zając Pędzik faktycznie był bardzo silny. Jak obiecał, tak się stało. Złapał łapkami za wystającą gałąź i jednym

Lis Pazurek

Ja też opowiem wam swoją niesamowitą, wspaniałą historię. My, lisy, poza tym, że jesteśmy najpospolitszymi drapieżnikami w naszym kraju i również w mojej krainie, która nazywa się Mazury, jesteśmy bardzo ładnymi ssakami.

Trochę się przechwalam, cooo?

Mam rude futerko na wierzchu, spód mam biały, a uszy trójkątne i wiecie jakie? Czarne. Ale moją największą ozdobą jest przepiękny długi, puszysty ogon – kita. Jest ruda, ale sam koniec kity mam biały. Jestem z niej dumny.

Wiosną i latem prowadzę osiadły tryb życia. Za to zimą i jesienią koczowniczy, to znaczy wędrowny. Biegam bardzo szybko, szczególnie jak ktoś mnie goni. Dość dobrze pływam.

Dawniej, jak już mówiłem, żyłem samotnie, byłem bardzo nieśmiały i nieufny. Nie było mi z tym dobrze. Brakowało mi przyjaciół. Ciągle tylko wszystkich podglądałem

i skradałem się, żeby nikt mnie nie zauważył. Nadeszła chwila, gdy postanowiłem to zmienić.

Ponieważ nie zostałem przywódcą grupy lisów, bo byłem na to za słaby, znalazłem sobie żonę i zbudowałem długi i głęboki tunel. To był mój dom.

Żona urodziła pięcioro dzieci. Wszystkie były szarobure i miały białą plamkę na gardle. Były bardzo malutkie. Takie młode liski nazywane są niedoliskami. Ale już po trzech tygodniach musiałem dokarmiać je mięskiem. To było nie lada wyzwanie.

Nasza nora mieściła się na obrzeżach lasu, obok wielkiego pola i dzikich zarośli, wysokich traw. Jedzenia było pod dostatkiem, bo my, lisy, jesteśmy wszystkożerni, to znaczy jemy gryzonie myszowate, ślimaki, robaki, ale również pokarm roślinny. Ja podjadałem jagody. Bardzo je lubię. Wy na pewno też.

Żona to nawet przynosiła padlinę – to są takie zwierzęta, które już nie żyły, kiedy je znalazła – albo nawet coś ze śmietnika. Nam to smakowało. Ludzie nazywali ją sanitariuszką, bo oczyszczała las.

Żyło nam się bezpiecznie, nigdy nie widzieliśmy tu myśliwych. Było za blisko zabudowań wiejskich.

Codziennie o świcie wychodziłem na skraj lasu i podglądałem rolnika, jak orze. A gdy już skończył, biegłem



szybko, aby z bruzd wyjadać myszy, norniki, nawet chomiki, które dla rolników są plagą.

Bardzo polubiłem pana rolnika. On mnie na pewno widział, gdy był na polu. Za każdym razem podchodziłem do niego coraz bliżej, a on nigdy mnie nie przepędził. Kiedyś zbliżyłem się tak bardzo, że chodziłem niemalże krok w krok za nim.

Mówił, że jestem taki piękny, że upiększam krajobraz.

Pewnego wieczoru coś podkusiło mnie, żeby także o tej porze dnia wybrać się do pobliskiej wioski, do gospodarstwa pana rolnika.

Wkradłem się po cichutku na podwórko i aż mnie zamurowało. Jakież było moje zdziwienie, gdy ujrzałem wielki kurnik pełen kur. A ile jajek w koszach! O rany koguta! Nie wiem, jakim cudem opanowałem się, że nic nie ukradłem. Chociaż nie mamy jeszcze żadnych zapasów, wróciłem do nory głodny.

A tam pan borsuk czyścioch, który dzieli ze mną norę, przy czym ma on oddzielne wejście, po obowiązkowej toalecie z powagą wychodzi i pod osłoną nocy wybiera się na swoje ulubione żerowisko. Nazwałem go Mydełko, bo często się myje i ma bardzo czysto koło swojej nory. My to raczej jesteśmy brudaskami, bo nigdy nie sprzątamy. Resztki jedzenia, jak na przykład pióra ptasie, zostawiamy

obok wejścia do naszej nory. Wstydzę się tego, ale taka już moja natura.

– A dokąd to się pan dzisiaj wybiera? – zapytałem.

– Tam gdzie zwykle – odburknął od niechcienia.

– A ja dzisiaj tylko pospaceruję sobie przy blasku księżycy.

Nie przyznałem się, że jestem głodny i wracam do kurnika pełnego kur i jajek. „Jestem w końcu drapieźnikiem, dzikim i chciwym” – usprawiedliwiałem się.

Znowu cichutko, pod osłoną nocy wkradłem się na podwórko.

„Ale jak tam wejść?” Drzwi były już zamknięte. „Muszę obejść cały kurnik dookoła i znaleźć jakieś wejście. Dobrze, że nie ma tu psów, bo zaraz by mnie wywęszyły. Oj, źle byłoby ze mną, oj, źle. Musiałbym uciekać... Ooo! Ale mam szczęście, okienka są otwarte... ale, o rany! Przecież tak wysoko nie podskoczę, nie potrafię aż tak”.

Aż tu nagle: fiu, fiuu!

„Niesamowita sprawa! Hurrraaa!!!” Pod jednym z okienek stała drabina. „Muszę po niej koniecznie wejść” – postanowiłem.

„Hop, hop, to nawet łatwe, i jestem wreszcie w okienku. Ale jestem sprytny i mądry!” – pochwaliłem sam siebie. „Teraz tylko szybko wskoczę, złapię kurę i w nogi...”

Nooo i już jestem, fiu, fiu, jakie to proste, wejście tu to dla mnie pestka!”

– O, rany nie krzyczcie tak! Cichooo!!! Uspokójcie się, Tutulki! – Tak je nazwałem.

Złapałem jedną, choć nie było to proste, bo się rozbiegły i głośno gdakały. Teraz już tylko z powrotem do okienka.

Sprytnie zeskoczyłem i w nogi. Szybko, jak najprędzej. Aby tylko dobiec do lasu. Młodziak, jedna polanka, druga, wysokie sosny i nareszcie jestem przed swoim domem. Uff, jaka ulga!

Przed wejściem do mojej nory był głęboki leśny dół, wrzuciłem tam kurę i czym prędzej schowałem się w norze, żeby się uspokoić, bo nogi bardzo mi się trzęsły.

„Na moje nieszczęście, po drodze, za jałowcem, spotkałem zająca Cichego. Siedział spokojnie, może bym go nie zauważył, gdyby się nie odezwał. Nigdy nie widziałem tak blisko zająca. Ha, ha, ale on ma krótki ogonek. Jest taki śmieszny, to jakaś kulka. Ja to mam kité” – z dumą pomyślałem o sobie.

Nie miałem ochoty na pogoń za nim. Miałem przecież zdobycz, i to jaką: tłustą, zdrową kurę zdobytą z wielkim trudem.

